

Ewa Skibińska

o swoich rolach i marzeniach

– *Dobiega końca Twój piąty sezon na scenie Teatru Polskiego we Wrocławiu. Jubileusz czcisz świetną rolą w „Mein Kampf” Taboriego, o której miałem przyjemność pisać...*

– Dla ścisłości: jest to piąty sezon pracy „na etacie”, gdyż na scenie tego teatru zaczęłam występować wcześniej. Jeszcze podczas studiów zadebiutowałam tu epizodem w *Historii Gombrowicza*. Potem – wciąż jako studentka – grałam w sztuce Titkova...

– *Wystartowałaś więc ostro. Czy potem nadal było równie dobrze?*

– I tak, i nie. Zależy, jak rozumie się to, co jest dobre. To prawda, że zagrałam w ciągu tych sezonów kilkanaście ról i że występowałam w bardzo różnorodnym repertuarze – od Szekspira, Czechowa, Ibsena i Fredry po Osborne’a, Harwooda i Taboriego. Zagraniem takiego zestawu ról jest dla aktora samo przez się kształcące, więc naturalnie te lata nie minęły bez pożytku. Coś zyskałam, ale...

– *...ale jakoś na człowieka sukcesu nie wyglądaś.*

– Nie, gdyż wiem doskonale, że te zyski mogłyby być bez porównania większe, gdyby udało mi się pracować z dobrymi, a przede wszystkim z zainteresowanymi współpracą z aktorem, reżyserami. Pod tym zaś względem moje doświadczenia są fatalne. I to od samego początku. Pamiętam szok, jaki przeżyłam podczas pierwszych prób w teatrze. A więc możliwa jest praca tak zupełnie nie dająca satysfakcji? Możliwa jest sytuacja, w której zapytanie reżysera, o czym właściwie jest robione przez nas przedstawienie, to nietykalny powód do obrzydzenia? I wszyscy się na to godzą? Bez szemrania? W głowie mi się to nie mieściło. Próbowalam zaprotestować. Postanowiłam rzucić swoją rolę, wycofać się na dziesiątej próbie przed premierą. Uznałam, że nie mam szans na dogadanie się z reżyserem, że nie wiem, po co jestem w tym przedstawieniu i po

co w ogóle jest to przedstawienie. Było mi po prostu wstyd pokazać się na scenie w spektaklu, z którym nie tylko nie potrafię się jakoś utożsamić, ale którego nie mogę nawet cenić. Jakaś awantura się wówczas rozpetala! Prośby, groźby, perswazje. Zostałam zawieziona do teatru i usłyszałam, że przesadzam, bo jak dojdą światła i dekoracje „to wcale nie będzie tak źle”. I podobno rzeczywiście „wcale nie było tak źle”. Tylko, że ja myślałam naiwnie, gdy przystępowaliśmy do pracy, że o zupełnie inny efekt nam chodzi...

– *Czy naprawdę nie spotkałaś reżysera, z którym by Ci się dobrze pracowało?*

– No nie, oczywiście, że spotkałam. Choćby Rudolfa Ziolo. Bardzo dobrze wspominam pracę nad *Upiorami* Ibsena pod jego kierunkiem. Wiele się nauczyłam zarówno od niego, jak i od grającej w tym spektaklu Teresy Sawickiej. Gdy podczas prób schodziłam ze sceny, stawałam w kulisach i patrzyłam, jak Teresa pracuje, jak buduje rolę. Ogromnie dużo mi to dało. Podobnie cenne było dla mnie spotkanie z Maciejem Wojtyzką, który w Teatrze Kameralnym reżyserował *Gardero-bianego*. Tylko, że to są wyjątki, a norma jest zupełnie inna.

– *Czy widzisz szansę na to, by owa norma się zmieniła? Może masz jakiś pomysł?*

– Wiesz, ja marzę o tym, żeby rada artystyczna któregoś z teatrów zdobyła się na tyle odwagi, aby zdjąć spektakl przed premierą, jeżeli jest to przedstawienie artystycznie chybione, złe. Wiem, że teraz taki gest jest wyjątkowo trudno wykonać, bo bieda, brak pieniędzy, bo podatników oburzy marnowanie sum, jakie przeznaczyli na kulturę. Ale ktoś powinien zdobyć się na tę odrobinę szaleństwa i przypomnieć nam wszystkim, że teatr to dziedzina, w której najważniejsze i właściwie jedyne, jak i warto stosować, są kryteria artystyczne.

Rozmawiał Krzysztof Kopka